europa czyta/

Ludzka miłość

ANDREÏ MAKINE

akcent

Kup książkę

LUDZKA MIŁOŚĆ

Kup książkę

Kup książkę

Andreï Makine

LUDZKA MIŁOŚĆ

Przełożyła Małgorzata Kacprowska

WYDAWNICTWO AKCENT ✦ WARSZAWA 2011

Kup książkę

L'amour humain
© 2006 Éditions du Seuil

Ludzka miłość
© 2011 BC Edukacja sp. z o.o.

Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes d'aide à la publication de l'Institut français.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Institut Français w ramach programów wsparcia wydawniczego.

WYDAWNICTWO AKCENT · WARSZAWA 2011 · WYDANIE PIERWSZE
ISBN 978-83-7802-136-0

Kup książkę

DZIECKO W MASCE

Kup książkę

Kup książkę

I

Kup książkę

Kup książkę

Bez miłości, jaką żywił do tej kobiety, życie byłoby tylko niekończącą się nocą w lasach Lunda Norte, na granicy między Angolą i Zairem.

To tam byłem dwa dni w niewoli wraz z rodakiem, radzieckim instruktorem wojskowym, oraz z czymś, co braliśmy za zwłoki Afrykanina rozciągnięte w głębi naszej celi ze ścianami z suszonej gliny. W przeciwieństwie do nas, noszących wojskowe drelichowe ubrania, Afrykanin miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę poplamioną krwią.

Kiedy życie jest zagrożone, ukazuje się nam całkowicie nagie i uderza nadzwyczajną prostotą swego mechanizmu. Przez godziny uwięzienia odkrywałem jego zużyte trybiki – najpierw strach zaciera naszą rzekomą złożoność psychiczną, następnie pragnienie i głód wypędzają poczucie strachu, pozostaje jedynie zaskakująca banalność śmierci. Ale nawet i ten niepokój ducha – próba zrozumienia mechanizmu życia – prędko staje się komiczny wobec niewygody przy zaspokajaniu drobnych potrzeb fizycznych (dla nas obu był to przymus oddawania moczu w obecności trupa). Wreszcie nadchodzi obrzydzenie do samego siebie, do tego indywiduum, które uważało się za istotę drogocenną, gdyż unikatową, a która zdechnie wśród innych sobie podobnych.

O zachodzie słońca bojownicy, którzy nas zatrzymali, złapali czworo zairskich chłopów – trzech mężczyzn i jedną kobietę – przechodzących przez granicę, by dostarczyć jedzenie „kopaczom", jak się tam nazywa poszukiwaczy diamentów. Mężczyzn ograbiono i zabito, kobieta poddała się gwałtom z tak wielkim spokojem, że nadawał on brutalności spółkowania niemalże naturalny charakter. Zachowywała całkowitą ciszę, z jej

Kup książkę

ust nie wydarło się ani przekleństwo, ani jęk. Pamiętam twarz jednego z żołnierzy: wyraz obrzydzenia po kopulacji, mieszaninę złości i senności we wzroku obserwującym bez cienia ciekawości ruchy innego żołnierza, który właśnie zajął jego miejsce między szerokimi udami Zairki.

Właśnie ten zblazowany podglądacz nabrał ochoty, by nas maltretować, co było do przewidzenia, gdyż satysfakcja cielesna wywołuje poczucie niezaspokojenia. Kilka razy kopnął w długie zwłoki Afrykanina. Gdy odwracałem twarz, by uniknąć jego buciorów, zdawało mi się, że usłyszałem za drzwiami pośpieszne kroki, szczęk broni. Myśl, że miałbym za chwilę umrzeć, wyrwała z ciemności obraz wyrazisty jak czarno-biała fotografia: brudny sznur wrzynający się w moje kostki, plamy smaru na spodniach żołnierza, pozbawiony szyby otwór okienny w dole ściany, przez który właśnie podglądałem gwałcicieli. Rozległ się dziwnie radosny kobiecy głos, przerwany krótką serią z karabinu maszynowego. Żołnierz wybiegł w pośpiechu na dwór, pozostawiając każdego z nas z własnym odroczeniem wyroku: bezruch Afrykanina; kaszel instruktora, który wypił łyk alkoholu z manierki ukrytej w drelichu; moje myśli zagubione między nagłą bliskością śmierci i przyjemnością, jaką mężczyźni znajdowali w tłustym ciele Zairki.

Byłem młody i to nagłe uproszczenie życia, zredukowanie go wyłącznie do przyjemności i do śmierci spowodowało, że poczułem się lepiej. Łatwiej jest zaakceptować własny koniec, gdy się wie, że jest się tylko kawałkiem mięsa, który walczy o rozkosz (jak ci żołnierze za oknem), i ginie, jeśli przegrywa walkę.

– Te czarne dupy z UNITY! – zaklął instruktor. Wypił kolejny łyk i prawie natychmiast zaczął chrapać. Poczułem podziw dla tego człowieka. Wiedział, co to nieokrzesana prawda życia, jej prymitywna mądrość, w jaką ja właśnie zostawałem wtajemniczany – nie jesteśmy unikatowi, lecz wszyscy jednakowi i wymienialni, zwykłe kawałki mięsa, które poszukują przyjemności, cierpią, walczą o posiadanie kobiety, pieniędzy,

Kup książkę

władzy, co oznacza mniej więcej jedno i to samo, a pewnego dnia zwycięzcy i przegrani spotykają się połączeni w doskonałej równości pośmiertnego rozkładu.

To nie był cynizm, przeżywałem te nagie prawdy, nawet się nie zastanawiając, oddychałem nimi, tak jak wdychałem wilgotne, ciężkie powietrze, które skraplało się na mojej skórze, albo smród gnijących ciał. Materią świata była organiczna masa, w jej skład wchodziliśmy wszyscy razem: ja, zaspany instruktor, martwy Afrykanin, żołnierze spuszczający się po kolei do obolałej pochwy kobiety, trzej chłopi z roztrzaskanymi czaszkami… Poczułem się ściśle zespolony z tą ludzką masą.

– Ten grubas Sawimbi, rozwalimy mu mordę… Ideologiczne szkolenie kadr… – zrzędził przez sen instruktor i uderzył się kilka razy po twarzy, by przegonić komary. W końcu i ja zacząłem przysypiać, ogłupiały ze zmęczenia, szczęśliwy, że mogłem się stopić z tą breją anonimowych ciał.

Krzyk, jaki się rozległ na dworze, nie miał w sobie nic bezosobowego. Był w przerażający sposób jedyny w swojej rozpaczy. Kogoś zabijano. Umierał ktoś jedyny w swym rodzaju. Kobieta, ta kobieta – Zairka. Ze związanymi nogami rzuciłem się przed siebie, wczepiłem się w wąski kwadrat okna. Widok nie był szczególnie okrutny, ale przedstawiał wyraźne i oczywiste obłąkanie. Jeden z wojskowych, gruby sierżant, ten sam, który przesłuchiwał nas poprzedniego dnia, siedział w kucki przed Zairką przytrzymywaną przed nim na kolanach przez dwóch żołnierzy. Sierżant wpychał paluchy w usta kobiety, jak dentysta, który bada szeroko otwartą jamę gębową. Latarka elektryczna w ręku jednego z żołnierzy oświetlała twarz sierżanta. Na jego kości policzkowej błyszczała szeroka blizna w kształcie gwiazdy, wygładzona przez czas…

Aby nie popaść w obłęd, próbowałem znaleźć jakieś wytłumaczenie dla tego, co widzę – afrykański rytuał, egzorcyzm…

Jedna z owych folklorystycznych głupot, jakimi się rozkoszują eksperci, która mogłaby nadać sens tej nocnej pantomimie.

Kup książkę

Niemniej jedna jedyna rzecz wydawała się oczywista: kobieta właśnie traciła życie, a ja byłem świadkiem jej życia po śmierci. Noc lepka od wilgoci i butwiejących roślin, piekąca warstwa brzęczących insektów, mężczyźni ciasno otaczający ciało kobiety, ich paluchy grzebiące w jej ustach, drapiące gardło…

Dopiero w tej chwili poczułem prawdziwy strach przed śmiercią. Był to ściskający za gardło spazm, podobny do przebudzenia się nieznanej istoty wyrosłej podstępnie w moim wnętrzu i odrywającej się teraz od moich wnętrzności, mojego mózgu. Byłem świadkiem narodzin moich własnych zwłok, przyklejonych do mnie jak sobowtór.

To nocne odroczenie pozostawiło mi wspomnienie paraliżującej paniki przechodzącej najpierw w stan przygnębienia, jakie po przebudzeniu odczuwa lunatyk, a następnie w nowe podniecenie wywołane wybuchem głosów za drzwiami i strzałami gdzieś w lesie.

Czołgając się po ziemi, szukałem jakiejś szpary w ścianie. Obudziłem instruktora, próbowałem nakłonić go do wspólnej ucieczki (burknął, zanim ponownie zasnął: – Tutaj więzieniem jest cała ta przeklęta dżungla…). Dzięki śmierci Zairki wyobrażałem sobie pierwsze chwile, które nastąpią po moim własnym zgonie: żołnierze będą wlec moje martwe ciało, rzucą je obok zwłok Afrykanina, instruktor zostanie zapewne zabity we śnie. Tak czy owak należał do owego pokolenia Sowietów, które umierało w imię matki ojczyzny, wolności ludów czy proletariackiego internacjonalizmu. Poczułem się zupełnie samotny w tym ostatnim kroku do nicości. Musiałem więc uratować się sam.

Gdy instynkt przeżycia wyzuł mnie całkowicie z poczucia wstydu, zbliżyłem się do trupa. Chciałem go przeszukać, zabrać mu to, co mi się mogło przydać: pieniądze i dokumenty, jeżeli jakoś udało mu się je ukryć przed żołnierzami, jakikolwiek wartościowy przedmiot, który pomógłby mi przekupić strażnika, jak choćby to pióro, które akurat wyczułem w jego kieszeni. Piękne wieczne pióro, zabytek cywilizowanego świata.

Kup książkę

Jego śliski i uspokajający ciężar w mej dłoni podziałał na mnie jak amulet…

– W środku nie ma atramentu… – Szept sprawił, że ciemność wokół mnie znieruchomiała, nabrała gęstości ciemnego szkła. Po kilku chwilach zdałem sobie sprawę, że nadal wyciągam w kierunku Afrykanina rękę z piórem, próbując mu je zwrócić, jak niezręczny i zawstydzony złodziej. – Atrament wysechł przez tę spiekotę… Ale gdybyś mógł zapamiętać adres…

Nie zdziwiło mnie, że mówi po rosyjsku. W tamtych czasach, w latach siedemdziesiątych, po rosyjsku mówiły tysiące Afrykanów. Kiedy wreszcie odzyskałem zmysły, to, co mnie uderzyło, to był raczej adres przeliterowany przez Murzyna. Chodziło o miejscowość leżącą w sąsiedztwie syberyjskiej wioski, gdzie się urodziłem, w okolicy, która zawsze wydawała mi się zagubiona na krańcu świata. Mężczyzna wymienił nazwę bez wahania i tylko jego spieczone z pragnienia wargi nadawały brzmieniu sylab piekący i chropowaty ton, ostateczny jak ostatnia wola.

Nie było już najmniejszego cienia logiki w minutach, które następowały po sobie coraz szybciej. Wszystko działo się równocześnie. Rozgorączkowane, a zarazem zadziwiająco spokojne oczy Afrykanina błyszczały w świetle zapalniczki, gdy osłaniałem dłonią płomień.

Pod skręconym grubym drutem, który zacząłem odłamywać kawałek po kawałku, ujrzałem spuchnięte nadgarstki. Usłyszałem, jak się zachłysnął, gdy pierwsza strużka wody wdarła mu się do gardła. Pozostało nam tylko pół litra płynu i już myślałem, że wszystko wypije, tak bardzo był spragniony. Powstrzymał się (aż mu szczęki zazgrzytały) i zaczął cicho mówić, w kilku słowach rozwiewając mój strach. Rano, mówił, Kubańczycy zaatakują i prawdopodobnie nas uwolnią. Szansa nie była wielka, ale pozwalała żywić nadzieję. Gdyby się nie udało, obaj z instruktorem możemy się spodziewać, że nas wymienią za więźniów z UNITY… Jego głos, obojętny i bez wyrazu, nie próbo-

Kup książkę

wał wywrzeć na mnie wrażenia. Po prostu dawał mi możliwość oczekiwania bez drżenia ze strachu (zrozumiałem to później), bez nieruchomienia przy każdym strzale, każdym krzyku. Jego słowa były po to, bym umiał umrzeć, kiedy trzeba będzie umierać. Przez chwilę zdawało mi się, że mógłbym z nim dzielić tę wielkopańską obojętność wobec śmierci. Akurat udało mi się odłamać ostatni kawałek drutu na jego lewym nadgarstku i gdy tylko uwolnił ręce, zrzucił z siebie marynarkę, rozpiął koszulę… w ostatniej chwili, zanim zapalniczka zaczęła mi palić palce, zdążyłem zobaczyć poszarpane ciało, wielki ropiejący strup pokryty insektami… Za drzwiami znów rozległ się wrzask Zairki (Afrykanin wyjaśni mi później, czego żołnierze szukali w tym umęczonym kobiecym ciele).

„Dlaczego tak długo ją zabijają", pomyślałem mimo woli. „Powinni zabić nas wszystkich. A przede wszystkim to robactwo, które żre czarnego!".

W ciemnościach usłyszałem szelest pocieranego materiału i poczułem kwaśny zapach alkoholu: instruktor podał mu menażkę i Afrykanin czyścił ranę. Opierałem się skurczony o ścianę, mając wrażenie, że cały jestem pokryty ranami, w których roiła się śmierć…

W tej właśnie chwili głos Afrykanina zaczął dominować nad pochrapywaniem instruktora, który ponownie zasnął. Ten głos był jeszcze odleglejszy niż przedtem, obojętny, nie starał się mnie przekonywać. Już nie mówił o naszym prawdopodobnym wybawieniu, ani o kubańskich jednostkach zbliżających się od strony Lucapy. Ton, jakim mówił, przypominał mi szept bardzo starych ludzi, których zapamiętałem z dzieciństwa, siedzących na przyzbie drewnianych chałup. Patrzyli w dal i opowiadali o tych, którzy żyli jeszcze tylko w ich siwowłosych głowach ciężkich od wspomnień z lat wojny i obozów. Eliasz (dowiedziałem się, że tak ma na imię) był ode mnie starszy o pięć lub sześć lat, lecz jego głos brzmiał, jakby dochodził z zaświatów.

Opowiadał o pociągu przemierzającym niekończący się zimowy las. Podróż trwała już kilka dni i z wolna stapiała się

Kup książkę

z losami pasażerów, którzy w końcu zaczęli się znać jak bliscy sobie ludzie. Dzielili się jedzeniem, opowiadali o swoim życiu, wychodzili na zaśnieżone kolejowe dworce i wracali, niosąc pod pachą wielkie bochny czarnego chleba. Niekiedy pociąg zatrzymywał się w samym środku tajgi. Eliasz otwierał wtedy drzwi wagonu, wyskakiwał na zewnątrz pośród choinek, pomagał wysiąść tej, za którą jechał w tę podróż na koniec świata. Słychać było skrzypienie śniegu pod stopami, z dala dochodził gwizd lokomotywy… Wreszcie nic już nie mąciło ciszy, rój gwiazd iskrzył się nad świerkami przygiętymi pod ciężarem śniegu, oddech śpiącego lasu wdzierał im się pod ubrania, ręka kobiety w jego dłoni stawała się jedynym źródłem życia w lodowatej czerni wszechświata…

Eliasz mógł mi przyrzec bliskie wybawienie przez kubańskie komando, choćby nawet następnego dnia, albo stoicki, bohaterski koniec i przetrwanie w pamięci innych, lub też bezbolesną śmierć oraz przyszłe szczęście w życiu wiecznym. Żadna z tych obietnic nie uwolniłaby mnie od strachu w tak pełny sposób, jak jego nieśpieszna, spokojna opowieść.

Konwój ruszał nagle – opowiadał mi – i nadchodził moment dziecinnego niepokoju, strach, że nie zdąży wskoczyć na stopień za kobietą, którą kochał.

Mimo ciemności ton jego głosu zdradzał uśmiech i, sam w to nie wierząc, czułem, że ja również się uśmiecham.

Poprosił mnie, żebym zapamiętał pewien adres. Ten adres stanie się w mojej pamięci jedynym bezpiecznym schronieniem, miejscem, do którego się wraca, gdy się wszystko straciło, i o którym wiadomo, że będzie się w nim zaakceptowanym takim, jakim się jest.

Kup książkę

Kup książkę

Drzwi się za mną zatrzaskują i nagle widzę tragikomiczność sytuacji, w jakiej się znalazłem: chcąc uniknąć hotelowej windy i wesołego tłumu tych, których nazywam „tłustymi Murzynami z międzynarodowych konferencji", wszedłem po służbowych schodach na dziewiąte piętro. I pomyliłem wyjścia. Na taras na dachu wychodzą dwa pokoje, jednym z nich jest mój pokój, drugi to ten, którego wnętrze widzę teraz przez szybę dużego okna. Nie mogę zawrócić, gdyż wyjście ewakuacyjne jest zablokowane, przewidziane niewątpliwie wyłącznie po to, by umożliwić ludziom ucieczkę przed pożarem na dach, skąd strażacy będą mogli ich zabrać. Natomiast w pokoju, który widzę z tarasu, jakiś mężczyzna i kobieta rozpoczynają właśnie coś, co z pewnością zakończy się kopulacją. Żeby wrócić do swojego pokoju, powinienem przejść przed ich otwartymi szklanymi drzwiami i przeskoczyć nad kilkoma roślinami w plastikowych donicach… To niewykonalne. Mogłem tak jeszcze zrobić w momencie, kiedy zatrzasnęły się drzwi – wybełkotać niewyraźne słowa przeprosin, szybko prześlizgnąć się do swojego pokoju… Po upływie kilku sekund spędzonych w bezruchu kretyn zagubiony na dachu zamienia się w podglądacza. Palce mężczyzny poruszają się pośpiesznie między łopatkami kobiety, rozpinają haftki biustonosza. Tak niewiele oryginalnych rzeczy potrafimy zrobić z naszymi ciałami… Jego ręce wydają się czarne jak smoła na tle mlecznobiałej skóry kobiety.

Znam ich: kobieta jest jedną z organizatorek kolokwium „Afrykańskie losy w literaturze", na które zostałem zaproszony; mężczyzna jest kinszaskim rysownikiem. Piersi, które udaje mu się w końcu oswobodzić, są podobne do kuli mozzarelli…

Kup książkę

Przyklękam za donicami kwiatów, czekam, aż wyłączą światło i rozkosz przytępi im zmysły. Zaledwie cztery, może pięć kroków dzieli mnie od mojej części tarasu. Jednak w ich pokoju ciągle pali się światło, a łóżko znajduje się naprzeciwko drzwi na taras. Wyciągając ramię, mógłbym prawie dotknąć ciała leżącego mężczyzny, kobieta właśnie zaczyna całować jego członek…

Być może to cena tych garniturów zmusiła mnie do ucieczki. Za każdym razem, kiedy znajduję się pośród „tłustych Murzynów z międzynarodowych konferencji", jakość ich ubrań wprawia mnie w osłupienie. Kilka minut temu przed windą doznałem tego samego rodzaju zdumienia, zapewne mającego źródło w odległych latach mojej łachmaniarskiej młodości: Ile może kosztować taki garnitur? Tysiąc dolarów czy więcej? Moje zdziwienie nie było niczym nowym, ale tym razem poczułem, że muszę zareagować i… no i uciekłem na te schody.

Konferencja, w jakiej uczestniczą, poświęcona jest trwałemu rozwojowi Afryki (nasze kolokwium dotyczące kultury stanowi tylko bezpłatny dodatek do tych ważnych obrad). Całe popołudnie spędzili nad definicją pojęć: czy mówiąc o głodzie, należy mówić o „biedzie ekstremalnej", czy też o „biedzie absolutnej"? „Niedożywienie" czy może „złe wyżywienie"? Pytania są istotne, gdyż od wybranego określenia będzie zależeć rodzaj przyznanej pomocy i budżety… Później, po przedłużającej się kolacji, eksperci dotarli do windy, wybuchali śmiechem, wydając odgłosy lekko poświstujące, głębokie, charakterystyczne dla podpitych Afrykanów, uderzali się przy tym nawzajem dłonią o dłoń, jakby sobie winszowali dobrego żartu. Patrzyłem na ich garnitury z cienkiej wełenki, karki przechodzące kaskadą tłustych wałków w grube szyje. Wiedziałem, że w Afryce, jeszcze bardziej niż gdzie indziej, rzeczywistość uwielbia groteskę – „niedożywienie", „absolutna bieda" i te tłuste karki! Nawet bardzo zaangażowany, do wściekłości zajadły dziennikarz nie pozwoliłby sobie na tak ostry kontrast. A jednak… Wyobrazi-

Kup książkę

łem sobie te błyszczące karki wokół siebie w windzie, pomnożone przez rozliczne odbicia w lustrach, zrobiło mi się niedobrze i uciekłem.

Teraz ponoszę karę – skazany na czekanie, aż kopulacja osiągnie apogeum. Ze swojej kryjówki widzę tylko twarz kobiety na czworakach, jej na wpół zamknięte oczy; jej dolna szczęka opada, ukazując język i zęby…

Szybka mozaika pamięci wywołuje nagle z przeszłości zdarzenie odległe o ponad dwadzieścia pięć lat. Kobieta gwałcona przez żołnierzy, mój bezruch więźnia, oczekiwanie… Kalejdoskop życia odtwarza tamtą jakże daleką noc na północy Angoli, ale równocześnie przekształca ją w farsę – gruby babsztyl, organizatorka „wydarzeń kulturalnych", kopuluje z młodym kinszaskim malarzem, któremu później zorganizuje wystawę w Paryżu albo Brukseli. A ja tkwię uwięziony pomiędzy dwiema donicami bugenwilli. Próbuję się z tego śmiać: najpierw Historia przyjmuje formę dramatu, a potem powtarza się jako błazeństwo. Nawet nasza mała historia osobista…

Tymczasem w łóżku kobieta leży na mężczyźnie, to ona jest aktywna, widać rytmiczne ruchy jej nóg. Oddech staje się coraz głośniejszy, zbliża się moment mojego wybawienia. Podnoszę się lekko, gotów do skoku… Dzwoni telefon, zasada wodewilu jest zachowana do samego końca. Gwałtowne ruchy ciał rozluźniających uścisk, „szszsz" szeptane przez kobietę; odkaszluje, by odzyskać wiarygodny ton głosu, zadyszana podnosi słuchawkę.

– Tak, Krystian, to ja… Nie, nie biegłam, ale tu taki upał, nie możesz sobie wyobrazić, uff. A poza tym nic specjalnego, sam wiesz, jak to jest, praca od rana do wieczora i jak zwykle nikt nie jest zadowolony… A Delfinka dobrze się czuje? Daj mi ją. Delfinko, kochanie moje, to mamusia… Nie, kochanie, jeszcze nie widziałam słoni, ale następnym razem, jak przyjedziesz z mamusią…

Minąłem się z nimi na Roissy przed odlotem. Krystian (mąż odprowadzający żonę na lotnisko) przypomniał mi pewną fo-

Kup książkę

tografię – blady i chudy żołnierz w podeszłym wieku maszeruje błotnistą drogą. To samo prostoduszne i staroświeckie spojrzenie, wyraz rezygnacji w zwisających wąsach… Towarzyszyła mu córeczka, sześcioletnia Delfinka. Czekając na odprawę, opowiadał mi o tym dziecku, które „późno" przyszło na świat, oraz o ich dwudziestodwuletnim synu. Jego żona biegała w tę i z powrotem w tłumie zaproszonych gości, sprawdzała bilety, dzwoniła z telefonu komórkowego…

– Pracuje jak szalona – powiedział do mnie Krystian, spoglądając na mnie szarymi, nieznośnie uczciwymi oczyma. – Nie wiem, jak to wytrzymuje… Te wszystkie podróże do Afryki!

Pogrążona w marzeniach dziewczynka rozstawiała na ławce serię plastikowych figurek. Jej wargi szeptały opowieść, której nie dało się usłyszeć. Wyglądała jak dziewczynki z dawnych czasów, z tym jasnym warkoczykiem i koronkowym kołnierzykiem…

– Całuję cię, kochanie, śpij dobrze i daj mi tatę… Krystian, jeśli pieniądze nie przyjdą przed piętnastym, wyślij list polecony, a potem zobaczymy… No dobrze, zadzwonię do ciebie jutro, teraz muszę jeszcze napisać raport dla prezydenta. Całusy, śpij dobrze…

Odkłada słuchawkę i przez chwilę siedzi na łóżku, drapiąc się po ramionach i ziewając. Mężczyzna zaczyna się bawić pilotem do telewizora, wybiera mecz piłki nożnej, potem zmienia program na klipy z bardzo rytmiczną muzyką. Kobieta przykleja się do niego, całuje sutki, prześlizguje się ustami do brzucha. Mężczyzna zmienia program. Koncert, chyba Haendel. Kobieta podnosi głowę, ma półotwarte wargi. „To te same usta", myślę nagle, „które za kilka dni będą całować Delfinkę, małą dziewczynkę z jasnym warkoczem…"

Gry miłosne nie dają się rozniecić. Pożądanie gdzieś się ulotniło. Kobieta podnosi się ciężko z łóżka, idzie w stronę łazienki. Na początku zdawało mi się, że jej tusza przypomina mozzarellę, ale nie, ona jest raczej podobna do mydła – bardzo białego i tłustego. A może do rachatłukum? Włosy, gęste i farbo-

Kup książkę